

odgłosy

TYGODNIK
CÓDZIKI
ROK III
Lódź 13. XI.
1960 r.
Nr 45 (141)
Cena 1 zł

WIESŁAW BEK

PRZYJACIELSKI „PÓŁNOCNY RZYM”

KIJOWSKIE
DZIŚ,
KIJOWSKIE
WCZORAJ



Było to na Kreszczati-
ku. Po drobiazgach po-
znały, że jesteśmy z
Polski. Podeszły, prze-
prosiły, zagadnęły. Jedna
wysoka, szczupła, płowa, dru-
ga — drobniutka czarna.
Sa studentkami medycyny.
Wypytywały o Polskę, a po-
tem bardziej nieśmiało — czy
przypadkiem nie znamy Jan-
ka R. z Warszawy. Studiuje
tam na wydziale prawa. —
Był tu przed kilkunastu dnia-
mi, o proszę — w dowód na-
szej przyjaźni podarował te
piękne rekawiczki. Koniecz-
nie, ale to koniecznie, prze-
ślijcie mu w Warszawie naj-
gorętsze pozdrowienia.

Potem zatrzymywali nas
inni. Wyciągali z kieszeni a-
dresy przyjaciół z Polski.
Zawsze ta sama prośba: po-
zdrowienia.

Kijów. Miasto — ogród.
miasto — sad. Powierz-
chnia nie mniejsze od
Moskwy, mniej jednak
załudnione. Miasto — cud,
urzekające czystością i ziele-
nią, 16,5 m² zielonych płuc na
jednego kijowianina. Szero-



— Jak pan minister widzi ryb w Bał-
tyku coraz mniej... Rys. K. Mozołewski

kie, asfaltowe ulice, po któ-
rych bezszelestnie mkną sa-
mochody i trolejbusy. Świe-
że frontony domów. I monu-
mentalne gmachy różnych
stylów i epok, pomniki zam-
ierchłej przeszłości, po-
kryte patyna wieków — o-
kresu świetności XI i XII
wieku, zaślubin z Rusią Mos-
kiewską, „Związku Cyryla i
Metodego”, w którego szere-
gach walczył o wolność dla

chłopów Taras Szewczenko,
i październikowej 1905 roku
Rady Delegatów Robotni-
czych.

U zbiegu ulic Włodzimier-
skiej i Woroszyłowa znaj-
dziesz także ruiny słynnych
„Złotych Wrót”, wiodących
do starożytnego, otoczonego
obrotnym murem Kijowa. O
te wrota — jak głosi legenda
— wyszczerzył swój zwycięski
miecz Bolesław Chrobry.



Maria Wachowiak jako Diana w „Fantazym” J. Słowackiego. (Recenzję z „Fantazego” zamieszczamy na str. 8)

A więc sławna stolica star-
zej Rusi, „matka ruskich
miast”, czy socjalistyczne
miasto USRR? — I jedno i
drugie.

By poznać urok Kijowa,
miasta jakich chyba na świe-
cie niewiele, wspiąć się trze-
ba na Pagórek Sławy lub le-
piej — Górę Włodzimierską,
tam, gdzie odwrócony tyłem
do malowniczego parku —
ponoć, by nie zawstydząć za-
kochanych — stoi zakuty w
pomnikowy kamień książę
Włodzimierz.

Z Pagórka Sławy rozciąga

się widok na dwutysięczno-
hektarową wyspę, utworzoną
w sercu miasta przez dział-
cy się Dniepr. Wyspa wkrót-
ce stanie się jednym wielkim
parkiem kultury i odpoczyn-
ku, a z korytem rzeki — po-
niżej jej poziomu — skrzyż-
uje się linia metro, by tam, na
wyspie, wyprowadzić pod-
ziemne pociągi na powierzchnię.

Po lewej więc — kijowskie
dziś, a po prawej?

Majestatyczna „Lawra Pe-
czerska” — dawny klasztor
prawosławny, sięgający swą
historią do XI stulecia. Pieć
cerkwi, trzy dzwonnice. W
pierwszym okresie swego
istnienia liczne pieczone za-
stępowały mnichom cele, dziś
cały ten kompleks Lawry —
to ponad 80 różnorodnych
zabytków architektonicz-
nych, w tym wzniesiony w
1947 roku pomnik — grobo-
wiec księcia kijowskiego Ju-
rija Dolgorukiego, założycie-
la Moskwy. W jesiennym
słońcu kopuły cerkwi błysz-
czą szczerym złotem, którego
do odnowienia historycznego
obiekty zużyto aż 16 kg. Pra-
ce zakończono zaledwie dwa
trzy miesiące temu.

I Góra Włodzimierska. Sta-
niesz na jej szczycie, a przed
tobą rozścieli się panorama
północnej, nadbrzeżnej dziel-
nicy Kijowa — Podolu. Opo-
dał do rzecznej portu zwa-
zi pasażerów górski tramwaj.



JACEK LEBEN

„Bomba szarego człowieka”

Wiadomość podana przez
„New York Times” o tym,
że uczeni niemieccy odkry-
li nowy, tani i stosunkowo
prosty sposób produkcji
bomb atomowych, stała się
bombą polityczną najwięk-
szego kalibru.

Produkcja bomb atomo-
wych jest niesłychanie
skomplikowana i wymaga
długiego ciągu operacji. Ko-
rzysta się przy tym zazwy-
czaj z procesu opartego na
zjawisku dyfuzji. Otrzyma-
nie produktu zawierającego
99 proc. izotopu uranu 235

(Dalszy ciąg na str. 2)



Panorama Kijowa

Dalszy ciąg
na str. 9

NOTATKI z ITALII (1)

W samolocie pokojowa temperatura. Na zewnątrz 3 stopnie poniżej zera. Lecimy nad potężnym masywem Mont Blanc. Olbrzymie platy śniegu biela się na postrzępionych graniach. W trzech miejscach migają światełka górskich schronisk. Wszystkie skąpane księżycową poświatą.

Stewardessa podaje przez megafon w czterech językach położenie samolotu. Lecimy na wysokości 5.500 m. Najbliższe lądowanie będzie w Turynie.

Mój sąsiad jest mediolańczykiem. Lecimy razem z Paryża.

— Znam Polskę — mówi — Byłem tam w czasie wojny.

Spojrzałem na niego widocznie niezbyt aprobowującym wzrokiem, bo szybko dodał:

— Niemcy mnie internowali. Po upadku Mussoliniego cały nasz pułk został internowany. Trzymali nas w koszarach.

A potem chcąc mi udowodnić swoją znajomość Polski powiedział:

— Oglądałem „Czarną Madonnę” w Częstochowie. My mamy we Włoszech wiele takich.

I przenieśliśmy się do Włoch. Zarówno w rozmowie jak i faktycznie, albowiem minawszy Mont Blanc znaleźliśmy się nad włoską ziemią.

Jeszcze przed lądowaniem w Turynie mój rozmówca doszedł do niezbitego wniosku, że wojny są nieszczęściem i są niepotrzebne, że stolarz mądrzej i lepiej byłoby zaniechać jakiegokolwiek nienawiści i wojny, wzajemnie się odwiedzają i handlować. Ten ostatni problem najbardziej go interesował. Słyszał, że w Polsce można tanio kupić interesujące go surowce.

Na lotnisku w Mediolanie minęliśmy olbrzymie jezioro.

— To zbudowali Niemcy w czasie wojny — wyjaśnił mój towarzysz podróży. — Miała to być przystań dla hydroplanów. Ale hydroplan jako środki lokomocji nie przyjęły się. Helikoptery zajęły ich miejsce.

Kontrola paszportowa. Mój towarzysz podróży — podobnie jak i inni Włosi i Francuzi — okazują jedynie swój dowód osobisty i przesuwa się szybko poza barierkę. Ogonek zatrzymuje się na mnie. Mój paszport jest skrupulatnie badany. Za sobą słyszę głosy zniecierpliwienia. Formalności trwają rzeczywiście długo.

— Ta długa kontrola ujawniła, skąd pan przyjechał — mówi potem mój towarzysz podróży.

— Bardzo mi przykro, że pan musiał czekać — odpowiadam — ale to naprawdę nie moja wina, że inaczej załatwienie podróży z zachodu, a inaczej ze wschodu.

Zaczę od stwierdzenia — zresztą nie nowego i nie przeze mnie wydukiwanego, że we Włoszech dominują dwie sily: kościoły i banki. Gdzie spojrzeć to albo kościół, albo bank. A jeśli nie kościół to kapliczka, a jeśli nie kapliczka to ksiądz, kleryk, zakonnik albo zakonnica. A jeśli nie bank to kantor wymiany lub punkt skupu walut.

Kościół i jego sładzy wpływ na całe życie we Włoszech. Na skuterze — ksiądz, za kierownicą samochodu — ksiądz, w kinie — ksiądz, w tramwaju — ksiądz, w hotelu — ksiądz. Włosi muszą być pobożni.

W mieście Bergamo, w

którym odbywało się posiedzenie komisji dla powołania do życia Międzynarodowej Organizacji Filmu Animowanego oraz jednocześnie Międzynarodowy Festiwal Filmów Artystycznych i Filmów o Sztuce władze kościelne zorganizowały w tym samym czasie diecezjalny kongres eucharystyczny. Dla nas lepiej, bo jaśniej było na ulicach. Wszystkie kościoły, zamki, pałace, mury starego miasta rzeszście iluminowano. Pięknie przedstawiała się obramowana ja-

mykającym wewnątrz kolumnowymi krużgankami typowy włoski dziedziniec — mieścił się dziś posterunek karabinierów.

Widziałem procesję. Był wieczór. Policja wstrzymała wszelki ruch kołowy. Długi wąż przeważnie młodych mężczyzn ciągnął wąskimi ulicami starego miasta. Niektórzy trzymali zapalone lampiony. Z daleka, na tle starych murów — widok nie zwykły. Chóralne zawołanie wywołało średniowieczne reminiscencje. A ksiądz?

Włoszem, był. Jechał w pięknym samochodzie, zaopatrzonym w duży megafon, przez który intonował pieśń. Poddawszy ton czołowiec wracał wozem na tyły, kontrolując natężenie głosów, za trzymywał się w środku długiego pochodu, znowu intonował i krążył na kółkach wokół procesji. Tak we Włoszech wdziera się postęp w instytucję kościoła.

Kontrasty kościelno-świeckie to specjalność Włoch. Oto np. pokazy filmów na festiwalu w Bergamo odbywały się w byłym, średniowiecznym kościele Sant'Agostino. W olbrzymiej wnęce kościoła, między wyblakłymi freskami, liczącymi po paręset lat zainstalowano szeroki ekran panoramiczny. Kościół ma bogatą tradycję. W jego murach urządzono już nawet koszarę wojsk napoleońskiej Republiki Cisalpińskiej (może legiony Dąbrowskiego?). W przyległym budynku poklasztornym, za-

Można by myśleć, że we Włoszech przy silnie utwierdzonej instytucji kościoła nie ma miejsca na swobodę obyczajów, na pełnię świeckiego życia, na miłość. Nie podobnego.

Szceny zabawy w ślub, udzielany przez zaimprovizowanego popa w sztuce Dario Fo „Archaniołowie nie grają w bilard”, granej obecnie w Teatrze Powszechnym

nej katedry oglądali wywiezione w gablotkach zdjęcia kabarelowych girlsów, prezentujących wcale okazałe okazy włoskiej sztuki.

Tu małe wyjaśnienie. Na zachodzie nie powiększy swego dekolitu szanująca się kobieta — poza dopuszczalny owal lub trójkąt. Ciało opięte i wywydatniające się biusty to specjalność aktorek filmowych (lub „filmujących” kociaków) i to za sadniczo przed kamerą. Natomiast widok nóg, kolan i ud dostępny jest każdemu. Kobieta śladająca na głębokim nawet fotelu nie spuści wstydliwie spódniczek, zwłaszcza jeśli ma co pokazać choćby haleczkę „non-iron” z falbanką, koronką, w pastelowych kolorach za 4, 5, 6 tysięcy lirów albo i więcej.

Eskimos

RYSZARD BRUDZYŃSKI

Lot

Kościół i banki

Kontrasty kościelno-świeckie

Dekolty i kolana

na równiku

Trochę jakby się zawstydzili. Starali mi się wyjaśnić, że goście ze wschodu są we Włoszech rzadkością, a polski paszport był po prostu urzędnikom policyjnym na lotnisku nieznany.

Rozstaliśmy się bardzo serdecznie.

No, i jestem we Włoszech. Czy zacząć na wzór Baedekera: Włochy leżą na Półwyspie Apenińskim itd.? Chyba nie.

nym w Łodzi — wywołują u niektórych naszych dorosłych świętoszków uczucie niesmaku, a nawet sprzeciw wobec rzekomego „biuźnierstwa”. A w ultra-katolickich Włoszech sztuka ta cieszyła się nielubianym powodzeniem w teatrze „Odeon” położonym przy wąziutkiej via S. Radegonda, naprzeciw bocznej nawy me diolańskiej katedry.

Nie zauważyłem również zgorznięcia u przechodniów, którzy mijając kolumnadę tego teatru w cieniu potęż-

Widziałem w Zurychu przystojnego księdza, siedzącego naprzeciw młodej, zgrabnej dziewczyny i wpatrzony w dalekie perspektywy jakie ujawniała poza siedzącą. W tymże Zurychu na lotnisku krążyła wśród pasażerów ciemnowłosa piękność z ciasno bardzo ciasno opiętym i kuso okrytym biustem. Byłem zdziwiony. Czyżby jednak taka moda była lansowana na zachodzie? Sprawa się wyjaśniła. Ciemnowłosa piękność leciała do Tel-Awiwu.

(Dokończenie w następnym numerze)





WIESŁAW MACHEJKO

RYBKA

lubi odpływać

Rybka lubi pływać — powiadają Polacy. Pewnie dlatego na rynku krajowym wciąż odczuwamy brak ryby zarówno słodkowodnej jak i morskiej. Rybka pływa jednak tam gdzie nie bywa nasz rybak. Ot co! Zachęcam państwa do przeczytania niniejszego felietonu rybackiego. Celem jego nie jest bynajmniej usprawiedliwienie odpowiedzialnych za tę gałąź gospodarki, za połowy, transport, przetwórstwo, handel rybą itd. Celem jest zapoznanie się czytelników z aktualną sytuacją na tym odcinku. Każdy kto lubi śledzia, filety z dorsza, szprotę czy łososia, powinien rzecz przeczytać.

Komunikat

„W okresie 9 miesięcy br. rybołówstwo morskie zловиło ogółem ponad 137 tys. ton ryb przekraczając za ten okres plan o ponad 6 tys. ton tj. o blisko...”

Jednym słowem — dobrze. Ale dlaczego na rynku, w sklepach Centrali Rybnej z rybą morską w stanie świeżym, mrożonym i solonym jest nadal krócho? Tzn. nie dostarczamy jej tyle ile moglibyśmy spożyć. W NRF rocznie spożyłoby ryby na głowę ludności wynosi 20 kg., w NRD—12. My zjadamy 4, a w końcu pięcioletki przewidziano 5 i pół kg.

Będziemy kolejno rozważać problem. Odpowiedź jest tak długa jak długi jest cykl połowowo-handlowy.

Kierunek na rybę świeżą

Połowy rybołówstwa morskiego mają wynieść w przyszłym roku 173 tys. ton. Przy opracowaniu te-

go planu brano pod uwagę prognozy połowów na rok 1961 opracowane przez Morski Instytut Rybacki w Gdyni. Prognoza ta w grubszych zarysach przewiduje, że w roku przyszłym stan liczebny stada dorsza na Bałtyku i jego zapas w rejonie południowym tego morza nie będzie zbyt pomysłny. Z badań nad wędrówkami dorsza i ruchliwością jego ławic dają się wysnuć pewne wnioski. Otóż w rejonie łowisk gdańskich trzeba się liczyć z mniejszymi połowami, natomiast pewna poprawa winna się zaznaczyć na łowiskach Rynny Słupskiej i w rejonie kołobrzESCO-bornholmskim. Połowy śledzi bałtyckich — wiosennych są coraz mniejsze, natomiast lepiej wypadają połowy śledzi jesiennych. Gwarantowana jest za to ilość szprot. Przy zastosowaniu lepszego sprzętu połowowego i wędzarskiego można, szczególnie zimą, osiągnąć piękne wyniki. Spadają połowy śledzi na Morzu Północnym, wzrastają za to połowy makreli.

Przy tym wszystkim plany rozwoju naszego rybołówstwa morskiego przewidują wzrost połowów w roku 1965 do 267 tys. ton a w roku 1975 do 500 tys. ton ryb morskich!

Ktoś powie: to niemożliwe, jak to zrobić? Są dwa wyjścia z tej sytuacji. Albo zwiększymy flotę, uczynimy ją bardziej nowoczesną, albo zmienimy miejsca połowów.

Czy unowocześnimy naszą flotę? Tak. W roku przyszłym rybołówstwo państwowe otrzyma m. in. dwa trawlerzy — przetwórcze, 4 trawlerzy motorowe, 7 kutrów 24 metrowych, 4 kutry 17 metrowe. Pod koniec przyszłego roku stan floty państwowych przedsiębiorstw połowowych wyniesie 3 trawlerzy — przetwórcze, 4 trawlerzy motorowe, 53 supertrawlerzy, 11 trawlerów starych, 24 ługrotrawlerzy B-11, 26 ługrotrawlerów B-17 itd.

Ale utarł się u nas zwyczaj, że po wymienieniu każdej grupy liczb ktoś powie złośliwie — Słownie no to w takim razie dlaczego w sklepie nie ma rybek?

Dlaczego? Dlatego że coraz mniej jest ich w pobliskich łowiskach. Czy więc zmienimy łowiska? Tak. Staramy się o to.

Łowy na tuńczyka

Na konferencji prasowej podają nam wędzonego tuńczyka przywiezionego z łowisk afrykańskich przez kuter dokonujący próbnych połowów. Rybka jest świetna! Tuńczyka można przyrządzać w różnych postaciach: wędzić na zimno, na gorąco, robić z niego rozmaite konserwy rybne, jak również przywozić do kraju w stanie zamrożonym. Czy będziemy jedli tuńczyki? Chyba tak. Oto w poszukiwaniu nowych bogatych łowisk, trafiliśmy do Gwinei. Zawarto już porozumienie w sprawie utworzenia polsko-gwinejskiego towarzystwa połowów morskich, Polska da jednostki połowowe, Gwinejczycy zbudują bazę ładową. Przedsiębiorstwo powinno rozpocząć działalność już wiosną przyszłego roku. Ruszą tam na razie cztery nasze ługrotrawlerzy przystosowane do połowów w warunkach tropikalnych i statek badawczy „Birkut”. Łowić mamy tuńczyka i sardinellę (coś w rodzaju skrzyżowania śledzia i sardynki). Nie zdecydowano jeszcze czy całość połowów przekazywana będzie do kraju za pomocą statków — chłodzi. Pewne jest, że część ryby zakupi od nas Gwinea i inne kraje Afryki bądź Europy zachodniej. Za uzyskane dewizy będziemy mogli nabyć rybę bliżej naszych portów unikając kosztownego transportu. Oblicza



się też, że jeden kuter 17 metrowy przyniósłby rocznie 120 tys. dolarów czystego zysku. Nasza ekspansja rybacka na tamte morza ma i to znaczenie, że w tej chwili dokonuje się umowy — zwyczajowy podział „dziewiczych” łowisk w tej części świata i kto pierwszy tam zawita, ten jest ważniejszy.

Od morza w kraj...

Tymczasem jednak codziennie łowimy rybę na Morzu Północnym i Bałtyku i codziennie moglibyśmy ją dostarczać w głąb kraju. Chodzi tylko o porządną drobiazg: transport.

W tym roku połowy na ogół były pomyślne i gdyby nie to, że mamy w tej chwili tylko 180 wagonów chłodzi — zaopatrzenie miast byłoby na pewno lepsze. Niestety zdolność przewozowa tych wagonów jest niewielka. W ciągu 5 miesięcy najlepszych połowów można było nim przewieźć 16.200 ton ryby. Duże partie ryby wysyłane były nawet

zwykłymi wagonami krytymi...

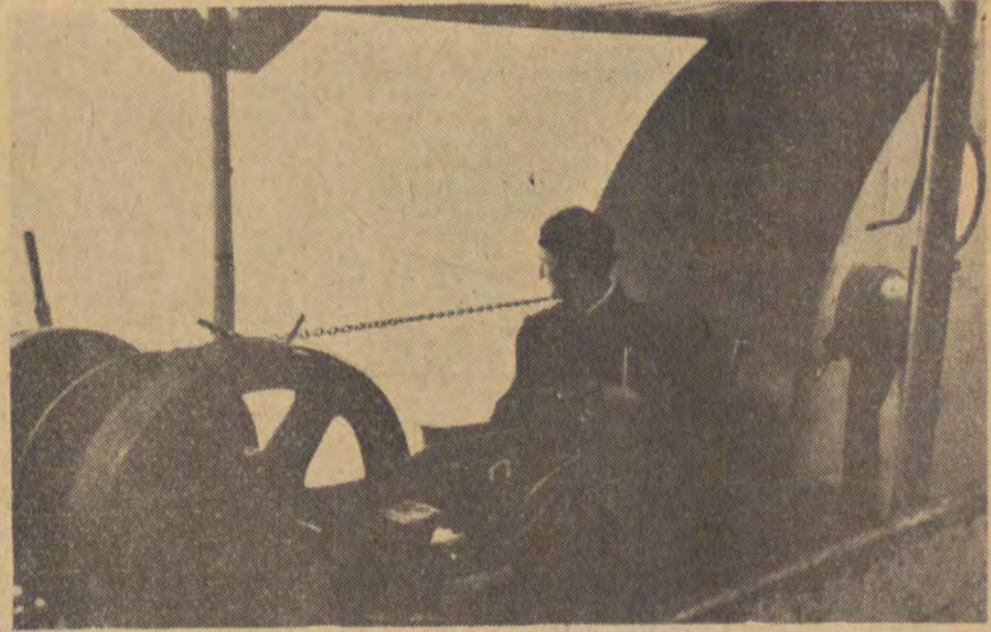
Potrzeba nam jeszcze drugie tyle wagonów-chłodzi. A samochody? Nie mamy samochodów lodowni. Dopiero za dwa lata przedsiębiorstwa rybne otrzymają podwozia samochodu ciężarowego typu „Zubr”, na których własnym przemysłem zmontuje się pomieszczenia chłodniczo-transportowe. Zwykłych samochodów do transportu ryby obłożonej lodem, też nie ma za wiele. Są to przeważnie zdzielone wozy z lat 1940—50. No ale powiedzmy, że ryba taka w stanie dobrym przyjechała do miasta. Czy są tam chłodzi rybne? Czy sklepy sprzedające rybę mają lodówki i bufety chłodzone? Niestety części ich brak... A więc nie ma faktycznej drogi w głąb kraju dla ryby z wybrzeża. Wybrzeże także nie ma dostatecznej ilości zamrażalni i chłodzi.

To już wiele wyjaśniło

A przecież perspektywy jakie stoją przed rybołóst-

wem, handlem i przetwórstwem rybnym muszą być w naszym kraju wielkie, jeśli chcemy mówić o zagwarantowaniu ludności właściwej bazy żywnościowej. Ryba odgrywa tu niemałą rolę. Centrala Rybna planuje w tej mierze bardzo śmiało. Myśli o dostarczaniu na rynek półfabrykatów rybnych w stanie zamrożonym (duże udogodnienie dla gospodyń!) planuje się uruchomienie we wszystkich większych miastach (nie mówią tylko o Łodzi — dlaczego?) smażalni ryb przeznaczonych do zjadania na miejscu i na wynos. Wreszcie poprzez budowę dużych obiektów składowych i zagwarantowanie odpowiedniego transportu — dostarczania ryb świeżych do najdalszych zakątków kraju.

Przypuszczać należy, że problem rybny zostanie częściowo rozwiązany gdzieś za dwa lata. W tej chwili, bądźmy szczerzy, ryby morskie są na rynku. A że nie ma ich tyle ile byśmy chcieli...



Fotografia: W. Machajko

Sławni

Nazywano ich różnie. Jaś gazetę pisała: „Kwiaty robotniczej Łodzi”. Gdy nie było pomnika Kościuszki, oni byli symbolem miasta. Uświetniali wielkie państwowe święta i skromne festyny na Zdrowiu. Droga ich podróży wiodła od Gubinów, Żar, Warszawy, do Berlina, Wiednia, Bukaresztu, Nicei, Agrigento. Zapalczymi sycylijszycy wykrzykiwali: grazie Polonia! Przybywało dyplomów, wieńców, medali, orderów. Przez te lata zdążyły zniknąć ze szpałt gazet nazwy innych zespołów.

A oni wciąż przebiegają w tanecznych korowodach estrady całego kraju. I tak już trwa to wszystko od blisko 15 lat. Aż stał się wreszcie sztandarową instytucją amatorskiego ruchu artystycznego, jak sztandar używany do oficjalnych uroczystości, jak sztandar opiekani z należnym patosem, jak sztandar — symboliczny.

Zyją w naszym mieście, są sławni, ale ich nie znamy. Wydają się jacyś dalecy, wyobcowani z naszej społeczności. Może warto przywrócić całemu zjawisku naturalne proporcje?

Rzecz zaczęła się w sposób prosty. Gdzieś w zamierzonych latach 1946-47 Maria Szkuclarek zakładała przyfabryczną świetlicę. Powstawało ich wtedy wiele. Mówiło się o awansie kulturalnym klasy robotniczej, a w nowym modelu życia kultura miała zająć pierwsze miejsce.

Jakimś zewnętrznym, materialnie uchwytym przejawem „nowego” miały być świetlice, oficjalne części składowe fabrycznego organizmu społeczno-politycznego.

przy proporczyku ofiarowanym przez czeskich gospodarzy, przypominają owe za mierzchłe czasy.

Ten nagły i niespodziewany zagraniczny wояaż wywarł na bliskich i przyjaciół niemałe wrażenie. Zwłaszcza, znajomi chłopcy wydawali się tym być bardzo poruszeni. Ten i ów wyrażał ochotę do tańca i tak gdzieś w 1949 r. uformowało się kilka par tanecznych. Już w następnym roku „Harnam” wyjeżdża na miesiąc do NRD. W 1951 r. zdobywa brązowy medal na trzecim Światowym Festiwalu Młodzieży i drugą nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Pieśni i Tańca. Wiadac, że kariera zespołu wy-



chodzi poza normalne ramy amatorskich osiągnięć.

W następnym — 1952 roku po raz trzeci występy w NRD, brązowy medal na IV Światowym Festiwalu w Bukareszcie, w 1954 r. udział w wielkich centralnych uroczystościach 10-lecia Polski Ludowej w Lublinie. W rok później przychodzi najważniejsze odznaczenie — Sztandar Pracy II klasy. W 1957 „harnamowcy” obchodzą swoje dziesięciolecie, wyjeżdżają do Francji. Z festiwalu folklorystycznego w Nicei przywieźli „Palme Lazurwego Wybrzeża”. W lutym roku następnego udział w podobnym festiwalu na Sycylii i w 1959 r. jeszcze raz Francja.

Taki jest rejestr wystę-

mu przyszło 500 osób. Wybrano z nich 60, a pozostało wreszcie 16.

Nie każdy może się zdobyć na wyrzeczenia i bezinteresowna ciężka praca. Próby odbywają się w soboty wieczorem i w niedziele. I tak przez cały rok. Inni młodzi ludzie leżą na wycieczki, chodzą do kina, na zabawy, a dla tych z zespołu nie ma świąt, nie ma zabaw w karnawale. Dochodzą do tego cagle, męczące wyjazdy na występy, które z reguły wypadają także w soboty i niedziele. Wszycy tancerze pracują w swoich zawodach w różnych zakładach pracy. Są wśród nich robotnicy „od krosna”, inżynierowie, pracownicy umysłowi. Nie chcą porzucić swojej pracy, taniec traktują po amatorsku jako przyjemność i rodzaj społecznej pracy. Ci, którzy mieli talent szczególnie i wybrali drogę kariery artystycznej odeszli — jak wspomnieliśmy — gdzieś indziej. Ci, którzy tańczą w reprezentacyjnym zespole tańca ludowego przy ZPB im. Harnama, nie otrzymują za to ani grosza.

Trzeba to podkreślić, ponieważ wielu ludziom nie chce się w głowie pomieścić, że może istnieć zespół tak wysokiej rangi na zasadach czystego amatorsztwa. I trzeba tu dotknąć sprawy drażliwej. Zespół „Harnama” eksploatuje się w sposób — moim zdaniem — rabunkowy i skandaliźny. Nie bez trudu ustalę, że członkowie zespołu występują częściej niż na to zezwalała norma zawodowych tancerzy. Ludzi odrywa się od pracy, komplikuje się im życie w rodzinnych przedsiębiorstwach, dysponuje ich urlopiami, wzywa przy każdej okazji do występów. Działacze spo-



Na zdjęciu u góry: duet „po zielonej łące” Kasia Gaski i Jona. Wykonawcy: Ola Keppe i Sławek Mazurkiewicz. Na zdjęciu obok: Kujawiak i na zdjęciu dolnym: mazur.

Zdjęcia:
GRZEGORZ
ŚWIETLIKOWSKI



njeznani

Więc Maria Szkuclarek założyła świetlicę. Powstały rozliczne sekcje a wśród nich teatralna. Student Wyższej Szkoły Teatralnej, Roman Sykała wystawiał tu „Matkę” Gorkiego (nie znajdziesz tego rodzaju pozycji w dzisiejszym repertuarze amatorskich zespołów). Inscenizacja wymagała zespołu tanecznego. Pani Szkuclarek zwróciła się do Teatru im. Jaracza z prośbą o pomoc. Właśnie pracowano tam nad słynnym przedstawieniem „Kraowiacy i górale”. Przyszła więc z pomocą fabrycznej świetlicy Jadwiga Hryniewiecka — choreograf. Wybrano kilka dziewcząt i zaczęła się nauka. Wszyscy jakoś zapalili się do tańca, pani Hryniewiecka otworzyła przed ludźmi nowy świat. Dziewczęta przychodziły na próby, choć dawno już taniec do przedstawienia był przygotowany.

Am się spostrzeżono i już istnienie samodzielnego zespołu tanecznego stało się faktem. Jeden publiczny występ, drugi, aż tu przychodzi zaproszenie od czeskich włóknarzy, Skromne i nieznane tańczące robotnice z łódzkiej fabryki wędrują po bratnim kraju. Dziś w fabrycznym klubie spłowiacie wstątki

z zagranicznych. W kraju występowali niezliczoną wprost ilość razy w wielu miastach. Z ich szeregów wyszły tancerze „Mazowsza”, „Śląska”, zespołów baletowych oper i operetek. Kilka osób trafiło do szkół baletowych.

W czym tkwi tajemnica sukcesów artystycznych tak wysokiej miary w czym tkwi tajemnica piętnastoletniego istnienia i wreszcie największa — autentycznego amatorsztwa tancerzy?

W jednej z sal pofabrykanckiego pałacu przy ul. Kilińskiego rozstawiono porceze. Między nimi w równych rzędach stała dzieci z podniesionymi rękoma. I raz, i dwa, i raz i dwa — monotonicznie skanduje instruktorka. Pod ścianami siedzą rodzice. Patrzą na swoje pociechy z nabożnym skupieniem. Przychodzą na każdą niemal lekcję. To jest podstawa pracy zespołu tanecznego. Wśród dzieci ćwiczących w kilku grupach znajdują się kilkoro rzeczywiście zdolnych, które przyjmie się do dziecięcego baletu. A oónie, jeśli adepotom starczy sił, możliwości i ochoty, przejdą do zespołu „dużego”.

Ten „duży” cagle zresztą szuka nowych ludzi. Stale przecież chłopcy odchodzą do wojska, dziewczęta wychodzą za mał. Na każdy apel o zgłaszanie się do zespołu przybywa kilkuset młodych ludzi. Dwa lata te-

łeczni przyzwyczaili się zażywać wszystkie dziury w programach artystycznych oficjalnych uroczystości tym zespołem, wyczaiła się nim we wszystkich okolicznościach. Przyzwyczaili się uważać, że zespół ma obowiązek tańczyć na każde wezwanie.

Jest to moja osobista obserwacja i nie wiem, co sądzi o tym sami zainteresowani. Wydaje mi się jednak, że „kwiaty robotniczej Łodzi” trzeba bardziej szanować, choćby dlatego, by nie naruszać fundamentalnej zasady amatorskiego ruchu artystycznego wśród młodzieży robotniczej. Dodajmy jeszcze, iż właśnie fakt istnienia na zasadzie amatorsztwa oraz mecenatu fabryki i związku zawodowego zespołu tej miary, co Harnama, budził wszędzie za granicą podziw i szacunek.

Wracając do pytań, postawionych uprzednio, można chyba sformułować następującą odpowiedź: tajemnica sukcesów tego zespołu tkwi w wyjątkowej i systematycznej, wieloletniej pracy, w stałym kierownictwie choreograficznym Jadwigi Hryniewieckiej, artystki naprawdę znakomitej, w umiarkowanym wychowywaniu młodych tancerzy, w stałym uzupełnianiu zespołu nowymi ludźmi, w unikaniu zjawiska „zawrotu głowy od sukcesów” i, co za tym idzie, gwiazdorstwa.

HENRYK PAWLAK

Kijowskie dziś, kijowskie wczoraj



Luk wychodzący na ul. Kreszczatik

Dokończenie ze str. 1

Zjeżdżają nim do pracy robotnicy, bo Podół — to przemysłowa część miasta, dająca 26 proc. globalnej produkcji stolicy Ukrainy. Nazwy wąskich, ciasnych w tej części miasta uliczek wskazują na ich rzemieślnicze pochodzenie.

Stoimy na Włodzimierskiej Górze i rozmawiamy z kijowanami o problemach miasta.

Problemach? Właściwie jest ich niewiele. Ani problemu wody, której z Dniepru pod dostatkiem, ani problemu dymiących w centrum fabryk, ani wreszcie problemu zanieczyszczeń rzeki. Płuskają w niej ryby, a nad brzegami zniecieruchomieli, wpatrzyli w spławik — rybacy.

A więc?

— Był problem odbudowy, pozostaje rozbudowy. Kreszczatik, główna ulica Kijowa, zwana tak od jarów i urwisk, w które obfituje skarpa nad Dnieprzańską — w 99 proc. zniszczona była w czasie wojny. 40 proc. budynków mieszkalnych miasta legło w gruzy. Ogółem straty sięgały 10 miliardów rubli. Ile wysiłku pochłonęła odbudowa — wam, Polakom, nie trzeba mówić. Stanęły tu m. in.: gmach — olbrzym Miejskiej Rady Delegatów Ludu Pracującego, centrum telewizyjne, budynek poczty, tysiące mieszkań, Kreszczatik zabudowano 8 — 15-piętrowymi domami o fasadach wyłożonych białymi płytkami ceramicznymi. Przyjemne to, prawda?

Wybudowaliśmy 6 mln. m² powierzchni mieszkalnej, w planie perspektywnym, 8 — 10-letnim — liczba te podwoimy. Już dziś Kijów posiada o 12 proc. mieszkań więcej niż przed wojną, w ciągu najbliższych lat oddanych zostanie ponad 100 tys. dalszych, każde — o przeciętnej powierzchni 30 m².

Ala my tu, w stolicy Ukrainy myślimy nie tylko o problemach miasta. Tu także rozstrzygają się ważniejsze o zasięgu ogólnokrajowym sprawy. Ot choćby takie: jak połączyć przez Dniepr, który

przed nami, Bałtyk z Morzem Czarnym, czy też jak najszybciej dogonić i prześcignąć w produkcji rolnej Stany Zjednoczone...

Zadziwiająca! Mój rozmówca, mieszczuch przeciętny, tak jak kolchoźnicy w całej naszej podróży po Związku Radzieckim — zaczął swobodnie sypać wskaźnikami i liczbami wzrostu produkcji rolnej. I wtedy przypomniałem sobie, co w jednym z kolchozów mówił jego przewodniczący: żaden jeszcze z naszych przywódców nie odnosił się z taką troską do problemów gospodarczych, jak Nikita Sergejewicz, nigdy jeszcze my wszyscy nie widzieliśmy tak dokładnie, jakie są nasze najbliższe zadania...

Przypomniałem sobie również, co niedawno pisał na łamach „Humanite” w rapor-

Przyjacielski „północny Rzym”

tażu z ZSRR — Pierre Courtaud:

„Numery „Prawdy” i innych dzienników umieszczane są w gablotach na ulicy. Zawsze zauważyć można grupy ludzi, czytających z przejęciem te dzienniki, albowiem nie ma ich dość w kioskach, choć „Prawda” ma tylko 4 stronv...

Widać, jak ludzie zatrzymują się, aby przeczytać od deski do deski artykuł na pięciu sześciu szpaltach o zagadnieniach ideologicznych, albo też o uprawie zbóż jarzyc i nie wiem, co jest bardziej zdumiewające — czy to, że ogłasza się tak poważne artykuły w dzienniku, czy to, że znajdują się ludzie, którzy te artykuły czytają. Tak właśnie jednak jest...”

I również jest tak, że mieszkańcy miast znają wskaźniki produkcji rolnej, że chętnie — przy łada okazji — o tym wyścigu z Ameryką mówią...

Może dlatego, że ten plan — gigant stał się własnością każdego? A może dlatego, że zadanie jest ambitne i trudne, jakich wiele, nudieli się już ludzie radzieccy.

MAKSYM RYLSKI

Oddech burzy

Miedziany Jeździec wstał w strzemionach,
Izaak, groźnie czoło marszczył,
Gdy samogonem odurzony
Rasputin Rosję przefrymarczył.

Jęcząca głucho Nawa w dali,
W okopach tyfus wojnę kończył
W Taurydzkiej kolumnowej Sali
Rozpanoszyli się kupczacy...

Aż raptem zadział łódź i morze...
Na kartach dzieł ożywa słowo.
To działobitnie na „Aurorze”
Epokę rozpalają nową.

Z rozmarzłych stepów wicher wolny
Trzaska w ich twarze przerażone,
Szlachecki, carski, senny Smolny
Wolnego ludu już bastionem.

O, nie czas skłaniać do pokory
Tęgo, co chwyla za puginał!
Krześński Pałac niby forum
Obala mocna dłoń Lenina.

przeł. TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Dom Towarowy



Pomnik Bohdana Chmielnickiego

Obrabiarkę półautomatyczną i statki rzeczne, tramwaje i motocykle, aparaty fotograficzne i elektryczne maszyny do golenia, chemikalia i przetwory spożywcze — oto tylko cząstka tego, co daje na rynek krajowy i zagraniczny sam przemysł Kijowa.

Balzak nazwał Kijów „północnym Rzymem”. Ktoś z gości Kijowa poprawił Balzaka — przyjacielski, „północny Rzym”.

W autobusie, na ulicy, w „Uniwermagu” (Dom Towarowy), gdy tylko usłyszeli polskie słowa — nawiązywali rozmowę. Polacy, których

skiego teatru muzycznego na zorganizowanym przez Towarzystwo Przyjaźni Ukraińsko - Polskiej „wieczorze przyjaźni”.

Słuchali z zachwytem razem z nami to rozlewanych lirycznych, to znów tryskających życiem i pełnych ciepłego humoru — ludowych pieśni. Ale nade wszystko słuchali swego ulubionego Maksyma Ryłskiego, mistrza wiersza, autora „Róż i winogron”, odznaczonego w pięćdziesiątym roku Nagrodą Leninowską, poety, który dobrze zasłużył się przyjaźni naszych narodów, tłumacząc na język swych braci „Pana Tadeusza” Poety, który sam mówi o sobie, że jego głównym celem w życiu jest szerzenie przyjaźni między narodami.

Gdy Maksym Ryłski kończył swe serdeczne przemówienie na „wieczorze przyjaźni” wypowiedzianymi po polsku, mickiewiczowskimi słowami: „Kochajmy się” — sala wypełniła się frenetycznymi, długo nie milkącymi oklaskami. Najdłużej były je znajome z Kreszczatiku, płowa i czarna — studentki kijowskiej akademii medycznej.

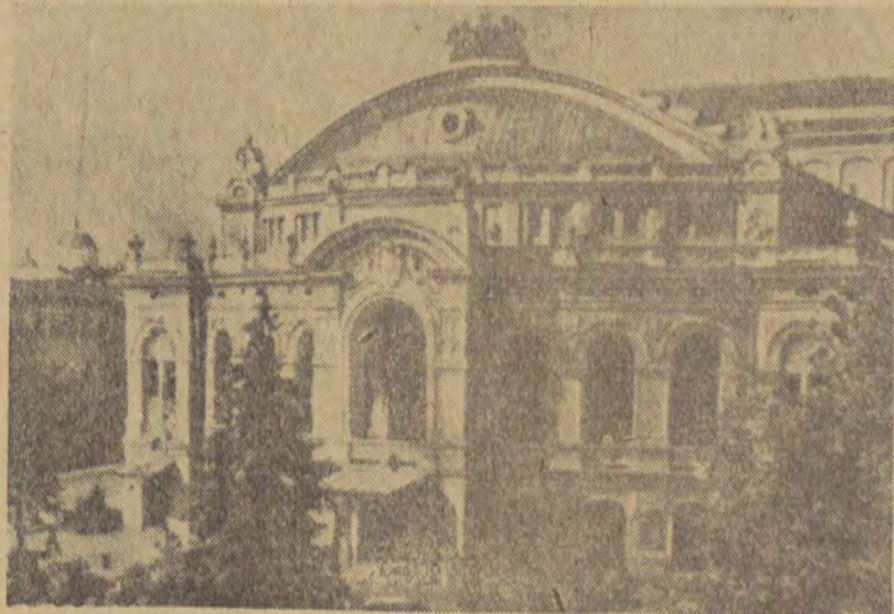
A może tylko tak wydawało się piszącemu?

WIESŁAW BEK

stawiając około 10 tys. eksponatów, korespondenci francuscy pisali:

„...i pawilon ukraiński — bogaty ziemiopłodami i wyrobami przemysłu, przede wszystkim jednak bogaty ukraińskim mózgiem elektrycznym”.

Ios w latach ich młodości rzucił na wschód od kraju, często niepamiętający już języka ojców, Ukraincy, Białorusini, Rosjanie. Zawsze uśmiechnięci i życzliwi. „Wy z Polscy?” I już toczyła się rozmowa. A potem wielu z nich spotkaliśmy w sali kijow-



Gmach Opery

Poetyka udziwnionej codzienności



Poeta Bernard Sztajnert wydał tom opowiadań „Tajemnica Maksa Hellera”. Jest to debiut prozaorski poety, nota wprowadzająca (Wydawnictwo Łódzkie stosuje tę modę) zapowiada, że opowiadania ukazują, niekiedy wstrząsająco, grozę okupacji, część opowiadań wybiega poza tematykę okupacyjną, ich treść stanowi szukanie sensu istnienia, utraconego na skutek przeżyć wojennych, tęsknota do ludzi człowieka nieufnego, samotnego.

Jest w tym, oczywiście, prawda, część prawdy, niecała prawda jak w każdym innym wprowadzeniu krytycznym, krytyk nie może chyba poprzestać na bezbłędnym możliwie odczytaniu tekstu, jego rola nie ograniczy się do poprawnego komentarza, to nie wystarczy, tym bardziej tutaj, proza Sztajnera należy do tego gatunku, który wzbudzi może różne refleksje. Weźmy dla przykładu, powiedzmy, „Koncert” to jest charakterystyczne dla całości opowiadanie. W pokoju odbywa

się narada kierowników, za drzwiami rozlegają się tony skrzypiec, wydaje się, pisze autor, że on pierwszy usłyszał muzykę, otworzył drzwi do sekretariatu, właśnie wtedy ujrzał w rogu pokoju śmierć w postaci kościotrupa w czarnej pelerynie. Stała, trzymając w pieszczach skrzypce. „No i co, kto tam gra — zapytał dyrektor”. „Nie ustalajmy źródła, że tak powiem, tej muzyki — odpowiada autor. — Niech sobie skrzypce grają za drzwiami, a my tu prowadzimy naradę. Posłuchaj mnie. Radziłbym przy dźwiękach skrzypiec do późnej nocy, aż zamilkła muzyka i szmer naszych głosów”.

Cóż to za historia? Cóż to za opowiadanie? Już to gdzieś słyszeliśmy, znajome echa budzi tę śmierć czekającą, kościotrup w czarnej pelerynie, śmierć jest za drzwiami przedsiębiorstwa Maksa Hellera. Sztajnert często eksplloatuje tę metaforę, ale nie popada w przesadę, to z pewnością nie są echa kałkowskiego „Procesu” wbrew oczywistym pozo-

rom nie znajdziemy tu dowodów na bezsens życia jak w „Caliguli” Camusa, ani rodowodu bohatera sarrowskiego, który w końcu rezygnuje z prób ulepszenia świata, nie z tych rzeczy, mimo że właśnie śmierć gra na skrzypcach, kiedy toczy swoje obrady. Ale to aktor mizerny ta śmierć, powiada autor, „och, ten nieznośny brak smaku u widmi!”

Przepraszam, że się sprzeciwiam, opowiadania Sztajnera nie są próbą szukania sensu istnienia, to raczej jakby suita liryczno-społeczna, gdzie trzeba zaprawiona ironią, gdzie trzeba sarkazmem. To jedno trzeba powiedzieć, w tych opowiadaniach rzeczywiście odczuwa się grozę wojenną nie samą wojnę, a grozę, która towarzyszy wojnie, która strachem ściska gardła, ten strach pozostał, są to wprawdzie sprawy przeżyte, które jednak powracają w złym śnie, zły sen przeraża. „Błogosławiony, kto umie łowić sny” — mówił Czechowiec, Sztajnert jest poetą, wolno mu sny łowić, lecz w „Ta-

jemnicy Maksa Hellera” ma my do czynienia ze snami przezwyjęzycznymi, które oglądamy razem z autorem jak na stole laboratoryjnym, pod szkłem. Sztajnert nie bada, nie szuka, nie błądzi po omacku, autor „Tajemnicy” pokazuje złe sny, które nie są snami, każe patrzeć na nie przez szkło powiększające, które z pozoru deformuje, ale nie zniekształca samej treści. „Bohaterem opowiadania o jednoręki jest brakująca, nie istniejąca ręka. Kiedy piszę opowiadanie o ciemności, bohaterem jest światło” na tym zasadza się poetyka szarej, a jednocześnie barwnej, nudnej, a jednocześnie bardzo bogatej co do codzienności, która dostarcza nieraz bardzo zaskakującego materiału asocjacyjnego. Stąd świat i ludzie udziwnieni, a przecież rzeczywistość, pozornie odbiegający od normalności, a przecież budzący zaufanie, stąd nieoczekiwane skojarzenia, rzekome głoszenie prawa do nieogra-

niczonego niezym korzystania ze swych skłonności, upodobań.
W miarę czytania tych krótkich opowiadań Sztajnera nasuwa się pytanie, dla jakich czytelników są one właściwie przeznaczone. Pierwsze wrażenia sugerują, że krąg odbiorców jest raczej wąski, nie zgodziłbym się z tym, książka może zaintryguować szeroki ogół czytelników, posiada walory dydaktyczno-społeczne i literackie. Osobiście jednak wolałbym, aby ten tom opowiadań był zapowiedzią większego rozrachunku literackiego, zbyt liczne są w nim prowokacje artystyczne i społeczne.

Bernard Sztajnert, *Tajemnica Maksa Hellera*, Wydawnictwo Łódzkie, 1960, str. 116, cena zł 10.



„Dziennik Łódzki” — pismo handlowe i literackie — rocznik 1891, m-cce I-IV, nr-y 146, 149, 151, 180, 181, 198, 200, 204, 210, 213.

MURZYN KELNEREM
Usługujący w cukierni p. W. przy ul. Piotrkowskiej, Murzyn, codziennie wieczorami zwabia przed okna sklepowe gromadę ciekawego ludku, który z otwartymi ustami przypatruje się mieszkawcowi gorących stref. Na ulicy otaczają go zawsze tłumy GAPIÓW...

Z PIOTRKOWA
Odbiło się tu zebranie koleżeńskie uczniów, którzy w 1881 r. ukończyli gimnazjum w grodzie trybunalskim. Z ogólnej liczby 14-tu, stawili się jedenastu towarzyszy. Wśród nich znani nam — Józef Kohn, Zygmunt Olszewski, Maksymilian Baruch, Klemens Wiśniewski, Adolf Hofrichter, Jan Rutkowski... W czasie skromnej uroczystości w hotelu Litewskim wystano telegramy do kolegów zamieszkałych w Paryżu i Warszawie...

BĘDZIN
rośnie kosztem Sosnowca... Z powodu zakazu wznoszenia jakichkolwiek budowli w Sosnowcu, wzrasta z każdym dniem Będzin. Jeżeli stan ten dłużej potrwa, to Będzin zająć może jedno z pierwszych miejsc w szeregu miast.

LEKCYE U P. WASZCZYŃSKIEJ
Lekcyje na mojej pansji zaczynają się 4 sierpnia. Zapis nowych uczennic odbywa się codziennie od 3 do 6 po południu. CELINA WASZCZYŃSKA, Pensya mieści się przy ul. Średniej nr 22 dom Szmida, mieszkanie moje tuż obok przy ul. Solnej w domu Olszewskiego.

NOWE GIMNAZJUM W ŁODZI
Wspaniałym przejawem odwiecznego uspołecznienia jest wzniesienie dla Łodzi nowego gmachu gimnazjum męskiego z fundacji rodziny Scheiblerów. Gmach ten wzniesiony przy ul. Dzikiej, na obszernym placu w sąsiedztwie kościoła katolickiego św. Krzyża, gmach zbudowany przeważnie w stylu romańskim, bez przeladowania w ozdobach zewnętrznych. Na obszernym placu poza gmachem ofiarował się p. I. K. Poznański urządzić piękny ogród... Wedle projektu dyrektora gimnazjum — klomby przed gmachem mają być zasiane kwiatami polnymi, których nasion ma być sprowadzona cała kolekcja.

Wybrał ZDZISŁAW KONICKI

Przegląd Filmów Radzieckich do dnia 18. XI. 1960 r.

- „Sierozą” — Grand Prix — Karlowe Vary 1960 r.
- „Dama z pieskiem” — Nagrodzony w Cannes 1960
- „Szukam ojca” — Nagrodzony na Festiwalu w Mar de Plata
- „Niewysłany list” — Z Tatjaną Samojłową
- „Słońce świeci dla wszystkich” — Panorama
- „Komandorzy” — Panorama
- „Światło Października” — Panorama

Szczegóły i informacje w FRASIE CODZIENNEJ

Najostrzejsze ołówki świata



Amerykańska rodzina w oczach karykaturzysty

„Rodzina — jak ją wi-
dzieć”... Modne stało się ostatnio sprowadzanie sprawy szczęścia rodzinnego do wymiarów automatyzacji i elektryfikacji tzw. domowego ogniska. Ale czy nowocześniejsza technika rzeczywiście przyniesie rozstrzygnięcie wszystkich konfliktów w „podstawowej komórce społecznej”?

Rzecz ciekawa — w USA, gdzie mechanizacja na codzień osiągnęła tak wysoki poziom, choć kosztem niebywałych wysiłków (raty, raty — co czwarty Amerykanin zadłużony jest dziś w wysokości swolch rocznych zarobków) — w tym właśnie kraju rodzinne kwestie są gorąco dyskutowane. Literatura, film — największym powodzeniem cieszą się sagi rodzinne, radio, telewizja — najpopularniejsze są ta-
siemcowe audycje cykliczne w rodzaju naszych „Matysiaków”. Wreszcie — rzecz już bardziej marginalna, lecz także charakterystyczna — przytłaczająca większość żartów rysunkowych, jak w żadnym innym kraju — szuka tematu właśnie w perypetiach przeciętnej rodziny amerykańskiej.

I co się okazuje? Zautomatyzowana kuchnia, pralki, lodówki i odkurzacze, telewizory i auta — stanowią — jedynie efektywne tło dla zawsze tych samych zabawnych kłopotów „podstawowej komórki”. Mechanizacja zajęć domowych bynajmniej nie jest żadnym panaceum na odwieczne problemy życia rodzinnego i sama z siebie rodzi nowe kłopoty...

— Może przekażesz z tą telewizją, aż zjem kolację.

— Zrobiłem wszystko według przepisu twojej mamy...

Czy dziś w telewizji znów konkurs piękności?

MŁODOŚĆ FILMU RADZIECKIEGO

Film z natury swej jest sztuką rewolucyjną, owocem postępu technicznego i myśli ludzkiej. Jest sztuką plebejską, agitacyjną, przemawiającą do milionów. Wyzwaniem rzuconym sztuce „starej”. Nieustannym poszukiwaniem nowych dróg i nowych możliwości artystycznych. I dlatego właśnie film mógł stać się najbardziej reprezentatywną sztuką młodego kraju Rad. „Misionarzem światowej rewolucji”. Wystarczy przypomnieć oddźwięki jakie wywołały w Niemczech i we Francji pokazy „Pancernika Potiomkina” entuzjazm z jakim witano „Matkę” i „Burzę nad Azją”. Oddziaływanie polityczne tych filmów uwarunkowane było nie tylko treścią, ale przede wszystkim doskonałością artystyczną wyrazu. Dzięki znakomitej plastyce obrazu i prawdziwej twórczości montażowej, w rękach Wierstawa, Eisensteina, Pudowkina i Dowżenki film stał się sztuką lotną jak myśl, zdolną przemawiać, wzruszać, porwać, przekonywać i udowodnić.

Te piękne tradycje, owa wrodzona buntowniczkość filmu sprawiły że X Muza przerwała okres застоju z jego tendencjami do schematyzmu i akademizmu. Już „41” Czuchraja i „Lecą żurawie” Kalatozowa przyniosły za powiedzi odrodzenia. Jakież znamienne dla nowego okresu są słowa reżysera „Zurawie”: „Uważam, że język filmu jest językiem plastyki, a nie językiem literackim. Słowa wypowiada się przedtem i potem. Język filmowy jest językiem obrazów”, Czuchraja, Kalatozow, Urusiewski (operator), Segel Kuldżanow, Abuladze — oto tylko niektóre nazwiska



„Zorany ugor”

twórców radzieckiej „nowej fali”. Przedstawiciele różnych pokoleń, różnych temperamentów i różnych koncepcji artystycznych. Łączy ich jednak postawa głębokiego humanizmu, wyrażająca się przede wszystkim w wysunięciu na centralne miejsce spraw jednostki, jej prawa do zwykłego, ludzkiego szczęścia. Ten krąg zagadnień był dotąd raczej obcy sztuce radzieckiej. Czołowi twórcy, jak Wierstawa i Eisenstein, nie wzięli go za temat. Zostało to dopiero w latach 40. i 50. Wtedy właśnie nastąpiła zmiana kierunku. W tym czasie w radzieckiej sztuce doszło do przełomu. Władca i podległy, zaciąg i wyprawa, zaciąg i wyprawa, zaciąg i wyprawa... (text repeats)

Kalatozowa mieści się poetycki liryzm „Ballady o żołnierzu”, „Sierioży”, „Bohaterów chwili”. Zamierzona prostota i naiwność tych filmów jest reakcją na patos i monumentalizm twórczości lat ubiegłych. Odkrywają one piękno rzeczy najzwyczajniejszych. Ich ludzkie, wzruszające ciepło, a zarazem alichowyta, teskna melancholia wywodzą się w prostą linię z ballad i opowieści rosyjskiego ludu. Poetyka „Ballady o żołnierzu” jest przeciwieństwem poetyki ludowej legendy. Powolny i rozległy rytm tych filmów, ich zewnętrzna szorstkość i podsłowny liryzm, ich filozofia i chwytliwy stylizowany noszą na sobie wyraźne znamiona poezji ludowej.

Wydaje się, że właśnie te dwa nurty: romantyczny i liryczny, mają największą szansę by stać się fundamentem ewentualnej radzieckiej szkoły filmowej. Są one w dużej mierze reprezentatywne dla rosyjskiego charakteru narodowego i dla tradycji kultury rosyjskiej.

O obliczu kinematografii nie decyduje jednak dzieła wbiłne, ale tzw. średnia produkcja. I tu można zauważyć ogromny przełom w stosunku do lat ubiegłych. Przeważały filmy kameralne o charakterze psychologicznym, poświęcone konfliktom codziennego życia, problemom ważkim i mniej ważkim, a dotąd pomijanym milczeniem. Mimo nierzadkich usterek, zwłaszcza w licznej rzeszy debiutantów, świadczą one o rzetelności artystycznej twórców. Wśród wymienionych także filmy jak: „Tania i jej matka”, „Badz moim synem”, „W kregu podejrzeń”, „Ewakuowano miasto”. Warto też zwrócić uwagę na rozwój niektórych kinematografii narodowych, np. litewskiej („Bohaterowie chwili”), łotewskiej („Twoje szczęście”), estońskiej i innych. **M. KORNATOWSKA**

MIESZANKA
FILMOWA

MIESZANKA
FILMOWA

MIESZANKA
FILMOWA

MIESZANKA
FILMOWA

NI EWYSLANY LIST

Zacznę od wyliczenia minusów tego wyjątkowego filmu. Wazpienie słabego „Niewyslanego listu” leży w scenariuszu opartym na opowiadaniu Waleriana Ouspowa. Bohaterowie filmu są zbyt jednolici, brak im chyba tego, co zwykle się nazywa „dobrym psychologizmem”. Nie znaczy to jednak wcale, że film kontynuuje jak módną modę (niezależnie od optymizmu, czy skrajnej dydaktyki). Odczuwa się po prostu, że scenariuszom filmu zabrakło odciechu, na wydzielenie postaci, na wywołanie ich działania, że nie starczyło im twórczości i talentu do opowiadania, ale nie pełnometrażowy film.

Chyba na tym jednak kończą się wady „Niewyslanego listu”. Trzeba jeszcze dodać, że filmowi temu za uczono pesymizm. Nie bardzo, fałszywego, wymownego „listu” nie jest zależna od tego czy bohater umarł, czy też byłano go przywrócić do życia. Ważne jest chyba przede wszystkim, że jak jego towarzyszy nie podał się, że wytrwał tak długo jak można wytrwać. Wydał tolerancję przyrodzoną nie dla siebie, nie dla własnej korzyści i sławy, czynił to dla innych, dla społeczeństwa.

Twórcy „Niewyslanego listu” nie są biernymi narratorami. Wspomniadają się bardzo swobodnie i emocjonalnie, językiem filmowym. Służą im do tego przede wszystkim obraz filmowy, plastyczna kompozycja kadru, jego ekspresja. Uczono więc stosując podwójne i potrójne nakładanie obrazów, kamera nie jest wernym aparatem rejestrującym według szkolnych reguł. Dynamizm uciekających srebrych światła, wznoszący się, to znów wolniejsze najazdy w górę i w dół, zbliżenia, plany ogólnie filmowane z helikoptera — oto cechy sztuki operatorskiej Urusiewskiego.

Zdumiewające w swej ekspresji są sceny pożaru lasu w tajdze. Nie da się zapomnieć też jednej z końcowych scen filmu: po pokrzyty kra rzęce płynię rozkrzyżowany na małej tratwie człowiek, pokrzyty szronem i lodową skorupą. Tratwa płynie coraz wolniej. Rzeka zamiera. Na białej piaszczynie, przeciętej wąską szparą czarnej wody widać unierającego człowieka.

Idealny duet: Kalatozow—Urusiewski dobrze został zrozumiany przez aktorów. Tatiana Samojłowa pokazuje dojrzałość aktorstwa niż w „Zurawie”. Np. w scenie odkrycia diamentu w grudce ziemi potakła w obliczu kilku minut przekazać widzom: rozpacz, strach, współczucie, żywiołowa radość. Osiągnięciem jest rola młodego aktora — I. Smokutowski (pamiętam go jako twórce gwiazdy w roli w adaptacji „Idioty”). W dwóch pozostałych rolach oglądamy: W. Iwanowa jako Andrzeja i Siergieja Urusiewskiego, znanego z epizodu o bezosobnym żołnierzu w filmie Czuchraja „Ballada o żołnierzu”.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK

EKRANIK

DRUGA ADAPTACJA HEMINGWAYA na naszych ekranach! Po filmie „Snieg Kilimandżaro”, który cieszył się ogromnym powodzeniem i jeszcze do dziś krąży po kinach — zakupiliśmy kolejną ekranizację powieści Hemingwaya — „Pożegnanie z bronią” — barwny i szerokoekranowy film reżyserował Charles Vidor, w głównych rolach występują m. in. Alberto Sordi i Vittorio de Sica. „Pożegnanie z bronią” zrealizowane w 1957 roku jest ponoć lepsze od adaptacji innych książek wielkiego pisarza „Sniegów Kilimandżaro” „Mieć i nie mieć”, „Komu bije dzwony”, „Stary człowiek i morze”. Ale i tamte — tak sędził z głosów najważniejszą prasy zachodniej — są filmami wyprzedzającymi ponad przeciętność. Kiedy je widzimy?

ALFRED HITCHCOCK, światny reżyser filmowych „kryminałów” przebywa obecnie w Szwecji, gdzie odbyła się premiera jego jubileuszowego 50 filmu pt. „Psyche”. Zapowiedziano w wydawnictwie radiowym o swe dalsze plany. Hitchcock odparł: — Przygotowuję film, w którym grać będzie znów James Stewart. Ale to wszystko, co na razie mogę powiedzieć. Koncepcja filmu jest jeszcze zbyt niedorzeczna, przypomina oczyma młodej matki, która spodziewa się pierwszego dziecka...”

JAK WIADOMO, kierownicy kin niezbętnie chętnie przyjmują do eksploatacji filmy dokumentalne zwłaszcza pełnometrażowe. Twierdzą przy tym, że ten rodzaj jest z góry skazany na niską frekwencję publiczności: trudno wtedy wykonać plan, etc. Tym wszystkim przewidywanym — zadatek kłam niebywale powodzenia.

dokumentu „Proces w Norymburdze” — również w Łodzi film ten wyświetla, o przez szereg dni przy pełnej sali! Przy okazji przypomnieć warto, że kinematografia polska ma także na swym koncie świetny film dokumentalny o procesie — „Ostatni Parteitag w Norymburdze”, reż. Antoniego Bohdziewicz — na pewno wart przypomnienia. Może w kinie Studyjnym?

A PROPOS polskich filmów dokumentalnych. Mamy wreszcie kino aktualności przed wakacjami działo dwa miesiące — drugie dwa na wakacjach — ale wyświetlane w nim filmy WFD można dosłownie policzyć na palcach. Trudno zrozumieć dlaczego tak się dzieje. Czy brak kopii, czy też w ogóle program łódzkich aktualności układany jest na zasadzie przypadku... Do tej sprawy jeszcze pokrótce powrócimy, na razie sygnalizujemy, że WFD wypuściła ostatnio — jak widać niechęć — kilka bardzo interesujących pozycji: „Węzór w Szpaku”. Ludziska Perskiego, reportaży ze sławnego warszawskiego kabaretu oraz cykl filmów o stolewcu — „Szczęśliwice”. „Warszawa ale inaczej”, „Warszawa B” — „Prosimy jak najszyciej w „Aktualnościach”!

PRASA FRANCUSKA ujawniła wiek świetnej aktorki, Danielle Darrieux. Znakomita „Madame de...” urodziła się 1 maja 1917 roku, a więc ma już 43 lata. Waży 55 kg przy wzroście 1,65. Pierwszy swój film nakreśliła w roku 1931(!), miał tytuł „Bal”. Niebawem Danielle Darrieux zagra cesarową Józefinę w filmie Vittorio de Sica o hiszpańskiej i włoskiej kampanii Napoleona

DONALD



Nowy fotos Giny Lollobrigidy

„DECYZJA”

Właściwie, zdążyliśmy się już przyzwyczaić do tego, że nie każdy kolejny film produkcji polskiej musi być arcydziełem.

Wszystko dzieje się zresztą zgodnie z „wytuczonymi” kryteriami. Ustalono przecież, że nasza kinematografia potrzebuje rzetelnej bazy filmów drugorzędnych — same „Eroiki”, „Popioły i filamenty” są wynikiem co najmniej „niezdrowej sytuacji”. Rośnie więc owa rzetelna baza. Mało w niej jednak rezultatów mogących wywołać jakieś takie zadowolenie.

Na podstawie „Decyzji” szczególnie łatwo wyliczyć skąd na ogół płynie ten brak zadowolenia — z niskiej wartości scenariuszy.

Zauważono to oczywiście dużo wcześniej. Ale zły scenariusz akurat w „Decyzji” jest powodem jakiegos dołączkowego pesymizmu. Wynajętą jest tu Eugeniusz Kobalt — od czasu Hłaski pierwszy pisarz młodego pokolenia, którego rzecz sfilmowano i nawet pokazano publiczności.

Z drugiej znowu strony trzeba powiedzieć, że scenariusz nie decyduje o ostatecznym kształcie artystycznym filmu. Za to odpowiedzialny

jest przede wszystkim reżyser. Od Juliana Dziedziny, współtwórcy amatorskiego „Miasteczka”, spodziewałem się czegoś więcej.

Po obejrzeniu „Miasteczka” można było stwierdzić, że przynajmniej umie on „patrzeć”. Miałem więc nadzieję, by przypuszczać, że w „Decyzji” — filmie, którego akcja rozgrywa się w określonym środowisku, na tle prowincji — Dziedzina popisze się jako doskonały obserwator, stworzy świetną, malomiasteczkową typ... Tło w „Decyzji” jest niestety martwe. Sam konflikt natomiast — aby powiedzieć „crotko—naciągnięty i śmierć” serlo celebrowany.

Jednak „Decyzja” może okazać się pozycją zupełnie przyzwoitą, jeśli spróbowałibyśmy ją zestawić z odpowiedniej klasy filmami państwu produkcyjnych w kinematografii. Okazuje się na pewno, że Julian Dziedzina reprezentuje całkiem europejski poziom rzemiosła.

Cokolwiek gorzej byłoby z aktorami, poza jednym może Horeckim. Zagrana przez niego postać doktora — jest chyba najlepsza.

TADEUSZ ZAKOWIECKI